

Dominika Tarczoń

Stragan
Pana
Barnaby

Targ w Białej przypadał zawsze na środę.

Burmistrz, wążąc dobry interes, wpuszczał na rynek każdego, kto był gotów uiścić opłatę. Jej wysokość była niezmienna - jeśli któryś ze strażników próbował wymusić na nieлюдziach więcej grosiwa, komendant Maks słusznie lał podwładnych w skórę. Jako że sam był niełudziem – o czym świadczyło jego orcze imię – nie było sprawiedliwszego organu ścigania.

Wraz ze wschodem słońca przed targowym placem zjawił się wysoki blady mężczyzna o pociągłej twarzy. Na plecach niósł wiklinowy kosz wypełniony towarem, a pod pachą czarne jak smoła krzyżaki. Barnaba.

Sypnął grosiwem i wszedł na targowisko, gdzie szybko odnalazł swoje miejsce – zaznaczone zawczasu kamieniem z numerem 13.

Mężczyzna z wprawą zdjął kosz z pleców, po czym zabrał się za rozstawianie stoiska. Ustawił na krzyżakach blat ze szcztokowanego, czarnego dębu i dokładnie wytarł go kocią skórką.

Zdjął wieko z kosza i zaczął wyjmować kolejne dobra – wełniane płaszcze o wyśmienitych splotach, jaskrawe burnusy, aksamitne haweloki i grube szuby. Większość z głębokimi kapturami, w ciemnych, niepokojących odcieniach, ze srebrnymi i amarantowymi obszyciami.

Obok układał kostury i laski o rzeźbionych główkach. Szczyty lach zdobiły przebogate wzory czarnych łabędzi, złożonych tygrysów, drapieźnych nietoperzy i

posrebrzanych węży. Proste, siermiężne kije Barnaba wiązał w snopki i opierał o stół, tak by było je już widać z daleka. Na końcu niektórych błyszcząły kolorowe kule.

Kiedy handlarz skończył, skinął na umorusanego chłopca krążącego z tacą pieczonych bulw. Pełno tu było wiejskich dzieci, które dorabiały sprzedając wodę i jaja na twardo. Zjadłszy ziemniaka, Barnaba zawiesił wysłużony znak. Wymalowany smołą napis głosił: *Peleryny, płaszcze i laski. Rodzinny zakład rzemieślniczy.*

Wszystko było gotowe, mógł otwierać interes.

Stoisko Barnaby znajdowało się między skarpetami Morów, a glinianymi wyrobami Konopczyńskich. Sąsiedzi traktowali go przyjaźnie, ale i tak – gdy myśleli, że Barnaba nie widzi – zerkali z przestraczem na rozłożony towar. Opanowany Barnaba udawał, że nie widzi ukradkowych spojrzeń.

Klienci podchodzili do jego kramu tylko w porze największego tłoku – tak, aby wyglądać na przypadkowych, zagubionych wśród stoisk nabywców.

Lecz gdy kupcy już podchodzili...

– Szukam kosturu o wielkiej mocy – zagaił jeden starzec.

– Nie ma – uśmiechnął się Barnaba.

– Przeca widzę...

– To najzwyczajniejsza w świecie Podróżna Laska.

– Kiedy na drzewcu wyróżnione są inkantacje...

– To zwyczajna ozdoba – Barnaba wzruszył ramionami.

Ozdobiona uśmiechem pociągła twarz wydawała się niemal urocza. Gdyby tylko wilki mogły być urocze.

– Przeca widzę... Alvus'um n'tkuk... – zaczął czytać dziadyga, poprawiając binokle na nosie.

Nagle rozległo się donośne PUFF i z miejsca, w którym stał klient, wzbila się w powietrze gromada sikorek. Widząc to, orczy strażnik podbiegł do stoiska.

– Panie Barnabo! – zaprotestował..

– Słucham? – Barnaba lekko się zarumienił.

– Klient przemienił się w ptactwo!

– Ale jaki klient?

– Dziad, co tu stał!

– Nie widziałem tu żadnego... uhm, dziada – Barnaba udawał niewiniątko. – Może któryś z panów go widział? – Rozłożył ręce w geście bezradności i spojrzał po sąsiednich stoiskach.

— Uhm, nic z'em nie widział – Pan Mor intensywnie parował skarpetki.

– Pełno tu ludzi, nic nie widziałem – Konopczyński uciekł wzrokiem w bok. – Kubki. Muszę dorobić kubków...

– Sam pan widzi, panie Fil’o’Mx – Skłonił się lekko Barnaba. – Łatwo się pomylić, taki tłok tutaj...

Strażnik zerknął na niego z ukosa, ale schował pałkę. Odszedł, lecz do końca dnia bacznie obserwował kram.

– Tak być nie może – Radny Wąsik walnął pięścią w stół. - Pałeta nam się tutaj czarnoksiężnik, a miasto nic z tym nie robi!

– A cóż ma robić? – Radny Wiecheć bębnił palcami w blat. – Płaci za kram. Zgodnie z prawem, może wystawiać towary.

– Ale to towar niebezpieczny! – zawtórowała radna Krystyna. – Może posłużyć do zabijania... albo do rebelii!

– Jakoś kramu z kuszami i włóczniami nikt zamykać się nie pali – Zniecierpliwiony Wiecheć zerknął za okno. Słońce stało już wysoko na niebie, a rada odrywała go od sianokosów. – Co pan powie, komendancie?

– To dobry kram, kupiłem raz oszczep... – mruknął ogr.

Krystyna wywróciła oczami.

– Chyba każdy z nas przyzna, że o ile z mieczami i łukami damy sobie radę, to z czarną magią walczyć nie potrafimy – uniósł się Wąsik. – Co, jeśli zaraz będziemy mieć na głowie magów? Wieść się rozniesie, że Biała jest szemranym miejscem, gdzie można dostać każde plugastwo!

– Dość – westchnął burmistrz. – Komendancie. Macie trzy dni na śledztwo. Trzy dni, począwszy od następnego dnia targowego. Jeśli nic nie ustalicie, przestaniecie mi zawracać głowę.

Strażnik posłusznie stanął na baczność, na ile pozwalał mu niski jak na orcze standardy sufit.

– Ta jest, panie burmistrzu.

Rada miasta rozeszła się, do sianokosów

W następną środę na stoisko *Peleryny, płaszcze i laski. Rodzinny zakład rzemieślniczy* padł cień. Barnaba podniósł wzrok i zobaczył górę ubraną w szarą, przykrótką pelerynę.

– Pokaż mi swoje towary... – wycharczała góra.

Handlarz nie dał po sobie poznać, że pod przebraniem rozpoznał orczego komendanta.

– Co interesuje szanownego pana? Może peleryny? Widzę, że ta już przykrótką... i ma o kilka dziur za dużo – Barnaba omiół wzrokiem miejsca po grotach strzał. Wokół poszarpanych dziurek widniały rude plamy. – Mogę przygotować panu idealną pelerynę z najwyższej klasy owczej wełny. Obiecuję panu, że tak ciasnego splotu nie znajdzie pan na żadnym innym kramie...

– Uhm – burknął ork. – Peleryna... Z kapturem.

– Oczywiście, z kapturem. Mogę spersonalizować głębokość kaptura, aczkolwiek proponuję wymiary dopasowane bezpośrednio przeze mnie – w dłoni handlarza pojawiła się rozkładana drewniana miarka. – Proszę mi zaufać, peleryny to moja pasja.

– A kolor? – wydukał komendant, starając się dzielnie pozostać w roli.

– To najprzedniejsze naturalne barwniki – Barnaba pogładził granatowy jak nocne niebo hawelok. – Produkuje je z górskich jagód, w naszym zakładzie.

– Co takie ciemne? Pewnie, żeby się ukryć nocą!

– Mamy dostęp do takich barwników, jakie mamy... Polecam jeszcze czerwoną porzeczkę i astry – Barnaba wskazał na krwistoczerwony płaszcz. – Albo atrament rzecznej ośmiornicy – Musnął damskie okrycie, obszyte srebrnym misternym haftem.

– Ale to bardziej dla pań.

– Może... kostur zatem – stęknął komendant. – To czaruje?

– To bardzo drogie eksponaty, jedyne w swoim rodzaju, proszę nie dotykać! – Próbował go ostrzec Barnaba, ale komendant był szybszy. Wziął w dłonie sękatą lachę z wierzbowych korzeni. Zielona kula na jej końcu eksplodowała oślepiającym, jadowito zielonym światłem.

Gwar na rynku zamarł na chwilę, potem ludzie gorliwie wrócili do swoich spraw.

Barnaba westchnął i sięgnął po miotłę. Zmiotł prochy orka na kupkę i skinął na jedno z wiejskich dzieci, które uwijały się po rynku w poszukiwaniu zarobku.

– Zajmij się tym – Poprosił mężczyzna, po czym wziął w dwa palce wysłużoną pelerynę i odrzucił ją na bok. – Wysokogórskie i wrzosowe – ocenił wełnę. – Co za prostacka mieszanka.

Więcej już nikt nie zaczepiał handlarza Barnaby.